

P
Przeгляд

Nr 21 (793)
7 sierpnia 2005 r.
Cena 4 zł
www.przeгляд.pl

SOWIECKIE METODY ŁUKASZENKI

**Niewyjaśnione
tragedie
tatrzańskie**

**Być
Murzynem
w Polsce**

**Męska przyjaźń
jest jak
kaktus**

Rozwód kościelny

CZYLI

ślubu nie było



Tajlandia, Laos,
Wietnam – nowoczesna
architektura, odcięte
od świata wioski
i egzotyczna kultura

JACEK PAŁKIEWICZ

Rozczaruje się każdy, kto chciałby znaleźć na mapie świata Indochiny. Leżące między Morzem Południowochińskim i Zatoką Syjamską kolonialne imperium francuskie, które wypromowało mit egzotyki i rozkoszy życia, rozplynęło się przed półwiekiem niczym mydła na bańka i jego urzekająca aura zachowała się tylko na stronach podręczników historycznych czy zakurzonych ksiązek opiewających atmosferę minionych czasów.

Ten odległy zakątek świata uwiódł mnie bez reszty swoją egzotyką, kalejdoskopem ludów, osobliwą urodą kobiet, a przede wszystkim odmienną cywilizacją. Indochiny to także urok dawnych nazw: Siam, Sajgon, Rangun czy Kochinchina, których magia i zagadkowość są w stanie pobudzić wyobraźnię niejednego człowieka. Jednak Indochiny to przede wszystkim Mekong, jedna z najbardziej tajemniczych rzek świata, tchnąca historią i mitologią. Tajowie mówią na nią Mae Nam Khong – Matka Wód, Chińczycy – Lancang Jiang, Burzliwa Rzeka, Khmerowie – Tonle Thom, Wielka Rzeka, a Wietnamczycy – Song Cu'u Long, Rzeka Dziewięciu Smoków. Nad jej brzegami piękno krajobrazu splata się z dobrocią ludzi, a przejawy nowoczesności z tradycją sprzed setek lat. Tajlandia, kraj konsumpcjonizmu, jeden z tygrysów Azji, sąsiaduje z Laosem nietkniętym cieniem nowoczesności i Myanmarem jeszcze dziś odizolowanym od wielkiego świata, a Wietnam, który dościsnął kraje Pierwszego Świata, współżyje z tradycyjną atmosferą Kambodży.

Luang Prabang po dziś dzień zachowuje ślady niedościgniętej piękna dawnej stolicy Królestwa Miliona Słoni, czyli Laosu. Niewiele zmienił się od czasu mojej ostatniej wizyty przed dziesięcioma laty. Miasto wciąż pozostaje jednym z najbardziej romantycznych i niezwykłych miejsc Indochin, ostatnim zakątkiem XIX-wiecznej Azji.

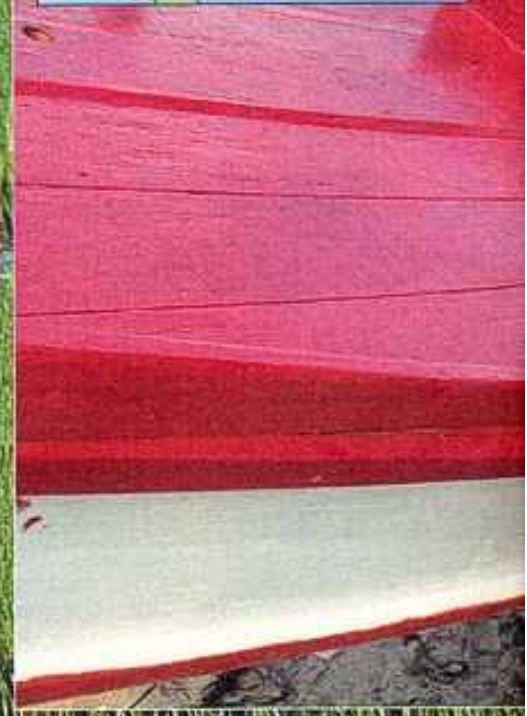
Rozkoszuję się aromatem kadzidel, zapachem drzewa sandałowego

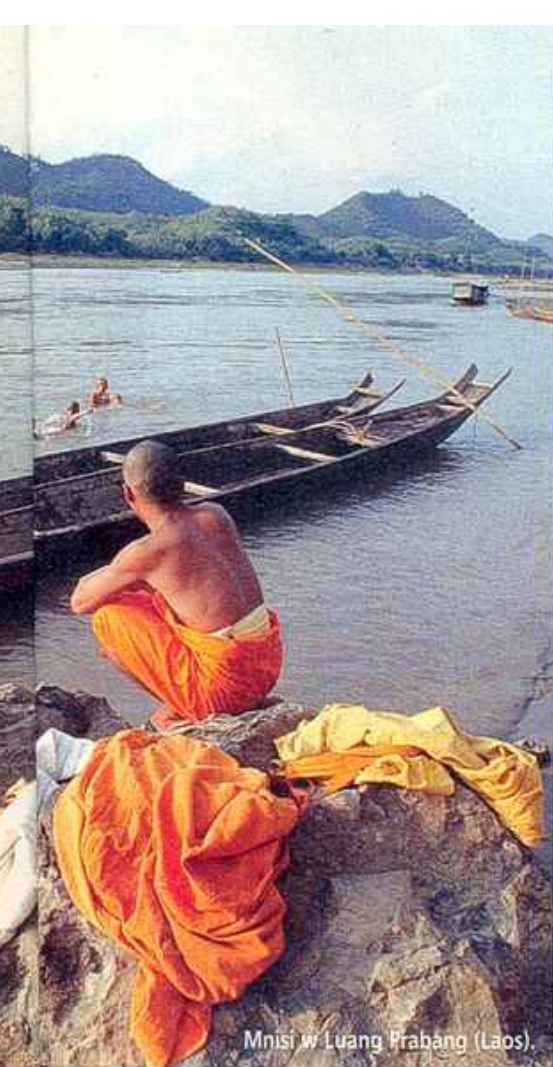
i opium płynącego z nielegalnej palarni

oraz czarem idyllicznego pejzażu, jakby żywcem wyjętego z dawnych sztychów. O świcie nasycam oczy widokiem stup skapanych w różowej poświacie oraz uroczystym rytuałem kwestowania bonzów z ogolonymi głowami, którym mieszkańcy ofiarowują garstkę ryżu, wieczorem zaś delectuje się złotymi kopolami pagód, połyskującymi w świetle księżycy.

Po całodzienniej jeździe malowniczą górską drogą na północ Laosu osiągam Luang Nam Tha, osadę graniczącą z Chinami, Myanmarem i Tajlandią, w której w powietrzu wisi niemalże dotykany zapach przemytu broni, opium i jeszcze innych ciemnych szmugli, umykających spod kontroli stróżów prawa.

Odwiedzam prymitywną wioskę Lentenów, utrzymujących luźną styczność ze światem zewnętrznym i żyjących nadal tak, jak przed wiekami żyli ich przodkowie. Lentenowie, nazywani także Lao-Huay, należą do większej rodziny plemiennej Miao-Yao. Nikt nie wie dokładnie, ilu ich jeszcze pozostało, ale z pewnością nie więcej niż 4 tys. Są animistami i zachowali wielowiekowe obrzędy. Ich życie upływa bez większych uniesień, ale też bez zbyt wielu zmartwień.





Mnisi w Luang Prabang (Laos).



Kambodżański rybak.

Noszą siłą, samodzielną odzież

utkaną na pedałowym warsztacie tkackim, a kobiety depilują brwi i chętnie zakładają masywną srebrną biżuterię. Są niedożywieni, słabi fizycznie, często zapadają na gruźlicę i malarię, która zbiera wiele ofiar.

O sto kroków od chat na palach, między którymi w cuchnącej sadzawce wylęguje się stado bawołów, rozciąga się makowe pole, morze białych i fioletowych kwiatów, pośród których porusza się wolno kobieta – zakrzywionym nożykiem delikatnie naciąga makówki, z których wypływa mleczny sok, nabierający wkrótce barwy bursztynu i tężący w woskową masę.

Wioska licząca 300 mieszkańców produkuje rocznie około 50 kg opium i wygląda na to, że dwie trzecie tego produktu spożywa się na miejscu. Przede wszystkim pali się go, ale też używa w celach leczniczych czy dla wzbogacenia codziennej diety. Swego czasu narkotyk ten był konsumowany głównie przez dorosłych, my natomiast jesteśmy świadkami palenia fajki przez młodzieńców i dziewczynki.

W chłodny poranek wyruszą z biegiem rzeki. Spływamy głębokim wąwozem, enklawą surowej przyrody, nietkniętej ręką człowieka, pośród której Mekong od pradziejów toczy swoje wody. Na brzegu ani śladu człowieka, tylko od czasu do czasu napotykamy jakąś łódź, potem mijamy krypcę z chińską banderą, zamurzoną po brzegi, załadowaną kartonami z proszkami do prania, zabawkami, sprzętem kuchennym i być może

także z ładunkiem broni

– zauważa nasz motorniczek.

W Huay Xai przesiadam się na tradycyjne czółno z trzymetrowym wiatem silnikowym, który można unosić na płycznach. Rejon staje się coraz częściej zamieszkały, a powiewdziała to niedzne wioski niektórych mniejszości narodowych. Tuż przed Luang Prabang, u stóp wysoko położonej nad wodą góry Pak Ou, grupa młodocianych mnichów rzuciła szafrańowe odzienia i hałasliwie kąpie się w rzece.

W przytęmionym świetle w łaskim widoczne są setki pozostawionych przez pielgrzymów przylaczanych figur Buddy różnej wielkości i w różnych pozach, przez którymi grupa Laolanczyków modli się na kolanach. Miejsce przypomina gigantyczny zbieżnik brzożarodzeniowy, umieszczony w fantastycznym podziemnym świecie.

Kolejny etap to Kambodża. W latach 1975-1979 Czterem Khmerów wzmordowało 1,5 mln osób, prawie całe warsztatego mieszkańca kraju. Nikt na świecie nie zareagował wówczas na ten holokaust. Odpowiedzialny za to Pol Pol nie został nigdy pociągnięty do odpowiedzialności. Na tym też nie zdał się wysiłek ONZ w prowadzeniu porządku w Kambodży. 26 tys. Hełmów i hełmów powróciło do domów

pozostawiając kraj na pastwę losu, bardziej skorumpowany, z galopującą przestępczością i małą nadzieją na polityczną stabilność.

Ludzie zaczynają jednak nowe życie, starając się zapomnieć o strasznej przeszłości. Powraca tradycyjny khmerski uśmiech, nawet jeśli w stolicy na porządku dziennym są strzelaniny i napady, szerzy się prostytucja



nielewnych oraz handel dziełmi. Nic więc dziwnego, że turysta zamierzający odwiedzić Słone Szwajcarii Angkor, przedmiot dumy i zawazem drogiocenny element w telewizyjowej świętności Kambodży, romans bezimi ślad zaginionej cywilizacji, omijając stolicę i leca tam bezpośrednio z Bangkoku, bądź z Sargonii.

Kontynuując podróż, po wodach Bassata, jedną z odnog Mekongu. Po obu stronach rzeki ciągną się rzędypalm i drzew mango.



Kobieta z kwiatem lotosu (Kambodża).



Okolice Siem Reap w Kambodży.



Park Buddy w świątyni Xieng Khuan w Wientianie (Laos).



Malowniczy wodospad nieopodal Luang Prabang w Laosie.

wych ciężkich od dojrzewających owoców. Czasem pośród bujnej roślinności pojawia się jakaś kolorowa świątynia, żadnych mostów, tylko promy transportujące ludzi i pojazdy. Zatrzymuję się w jednej z wiosek, gdzie właścicielka straganu smaży mi złozone przy nas ryby. Z mieszzanymi uczuciami zabieram się do jedzenia durianu, owocu o niezwykle przenikliwym i niesprecyzowanym zapachu, który wypełnia całą okolicę. W Indochinach mówi się, że

ma łoski smak, ale piekielną woń.

Słynny przyrodnik Alfred Russel Wallace napisał, że warto było przyjechać do południowo-wschodniej Azji tylko po to, aby spróbować tego owocu. Zdecydowanie popieram jego pogląd, nawet jeśli połowa obcokrajowców wyraża zwykle zdęgowanie.

Moja przygoda kończy się w gigantycznej delcie Mekongu, aluwialnej dolinie z tysiącem kanałów, między którymi rozciągają się plantacje kuczukowe, błotniste tereny, wiecznie zielone pnącza mangrowca, a przede wszystkim niekończąca się szachownica zielonych pól ryżowych, na których uwijają się cierpliwie wietnamscy wieśniacy. Dla nich wskazówki zegara przesuwają się zdecydowanie wolniej niż w zachodnim świecie, pełnym agresji, stresu i niepomamowanej konsumpcji dóbr materialnych.

Trudno się więc dziwić, że przybysz z kręgu współczesnej cywilizacji przemysłowej do tego stopnia zostaje urzeczony zagadkowym czarem Wschodu, osobiwią urodą kobiet, ulotnym momentem świtu, soczystymi kolorami, ekscytującymi zapachami czy egzotyczną kulturą, że może wyjechać stąd z rozdartym sercem kochanka i dręczącymi wyrzutami sumienia, że musi opuścić swoją ukochaną.

Jacek Pałkiewicz

FOT. ARCHIWUM AUTORA